ROZMAITOŚCI.

Dnia 18 kwietnia, Ner 16. roku 1846.

BANKIER Z WOSKU.

(Dokończenie.)

Kredyt Piotra Lowter był, jakeśmy to już powiedzieli, wprawdzie nieograniczony, lecz czysto osobisty. Ten kredyt polegał jedynie na powszechnie uznanéj prawości bankiera, jego biegłości w interesach finansowych, i szczęściu, które we wszelkich przedsięwzięciach mu towarzyszyło. W całym Londynie uważano go za wzór nieosiągnięty. Pani Lowter miała go za wyższą, nieomylną istotę, za rodzaj opatrzności.

Z tego powodu list, w którym bankier swoje mniemane zabójstwo oznajmił, był podwójnym dla pani Lowter ciosem; straciła zarazem małżonka i majątek. Pani Lowter znała tylko jednę namiętność, a tą była miłość dla jéj córki Anny. Śmierć męża zniszczyła nagle wszelkie jéj marzenia o szczęściu ukochanego dziecięcia. Wypadek ten pogrążył ją w smutku; strata majątku była jéj nader bolesną, ale myśl, iż jéj córka to nieszczęście wspólnie ponosić musi, zadała jéj cios śmiertelny.

Była wtedy sama w pokoju, gdy stary Toby przyniósł jéj wiadomość o mniemanéj śmierci męża. Toby służył bankierowi od lat piętnastu i doznawał od łagodnéj i dobrotliwéj lady Lowter zawsze jaknajlepszego obejścia się; żal mu więc było nieraz, iż się przyczyniał do jéj oszukiwania. Zaledwie kilka słów odczytawszy, padła biédna w omdlenie. Toby rzucił przelotnym wzrokiem na pismo i pospieszył swéj pani ku pomocy.

»O nieba!« zawołał. »Cóż się teraz stanie z tym domem!«

Stosunki domu Lowter były powszechnie znane. Wiedziano w całym Londynie iż wszelka pomyślność tego domu na jego naczelniku polegała. Przy takim naczelniku, ufano ślepo w jego trwałość i świetność, bez niego groził mu nieochybny upadek.

Pani Lowter zostawała długo bez przytomności. Toby starał się przywieść ją do opamiętania; nacierał jéj czoło i skronie, skrapiał twarz zimną wodą, aż wreszcie ją otrzeźwił. W chwili gdy mniemana wdowa znowu do siebie przyszła, uderzył się stary sługa z radością po czole i zawołał w uniesieniu:

„Ocalę ją!"

Pod tem słowem »ją« rozumiał Toby nie swoję panią, lecz firmę domu. A gdy pani Lowter z zadziwieniem nań spojrzała, dodał starzec:

„Pan Lowter wprawdzie umarł, lecz ja go wskrzeszę."

Poczém wziął biédną wdowę za rękę, i zaprowadził do gabinetu bankiera. W téj chwili wszedł Tomasz Bage do pokoju, z którego oni właśnie co wyszli, a znalazłszy opuszczony list na ziemi, przeczytał go bez zarzutu sumienia.

Toby otworzył szafę i odchylił długą zasłonę, którą była zakryta. Pani Lowter wskrzyknęła głośno na widok tego, co wewnątrz szafy ujrzała; zarazem otworzyły się zlekka drzwi gabinetu a Tomasz Bage zaglądnął niepostrzeżony.

„A co, nie on-żeto!" zawołał Toby tryjumfującym głosem. „O, jestto dzieło wielkiego majstra! Jegomość nieboszczyk zapłacił za to 100 gwinejów, aby jak najwierniejsze było podobieństwo."

I nie darmo zaiste zapłacił bankier tę sumę. Wewnątrz szafy stała figura z wosku przedstawiająca bankiera. Dzieło to powiodło się tém pomyślniéj artyście, iż oblicze szanownego pana Lowter nie odznaczające się wyrazem charakteru, było bardzo przydatném do odwzoru. Można mu było ten jeden tylko zarzut uczynić, iż odwzór miał daleko więcéj życia, niżli sam oryginał, i że p. Piotr Lowter sam daleko więcéj do woskowéj figury był podobnym, niż jego woskowa figura do niego.

Na ten widok zalały się łzami oczy wdowy, a stary Toby przybrawszy pokorną i żałującą minę, rzekł:

„Miéj pani litość nade mną zgrzybiałym starcem, i przebacz mi, żem przeciw tobie wykroczył. Ta figura służyła do oszukiwania cię, a ja dopomagałem, na nieszczęście, w tym niegodnym podstępie; ale mój pan kazał, a ja musiałem słuchać. Co wieczora wychodził on ukrytémi w ścianie drzwiami do domu gry, a ja wtedy ubierałem tę figurę w jego szlafrok i stawiałem przy niéj lampę. Pani zaglą-

dając często przez okno z swego pokoju, »widziałaś« pana i dziwiłaś się jego niezmordowanej pilności.”

„Dość tego,” — odezwała się pani Lowter — „pocóż mi to teraz powiadasz?”

»Jakto, czyż pani mnie nie rozumiesz? Jeżeliśmy panią zwodzić mogli, czy również i innych podobnież zwieść nie można?»

Nieszczęśliwa wdowa sparła głowę na ręku; tłum bolesnych myśli cisnął się jéj do głowy. Cierpiała ona już teraz niewymownie, a przyszłość stawała przed nią w straszniejszych jeszcze kolorach. Anna, jéj ukochana córka, miała na ostatnią przyjść nędzę; jednakże pani Lowter miała już zamysł odmówić zezwolenia na ten wybieg.

»Jestto równie niesłuszną jak i niebezpieczną rzeczą;» ozwała się do starca.

„Niesłuszną być może, — lecz wcale nie niebezpieczną.”

To rzekł już Tomasz Bage wchodząc do pokoju. Pani Lowter zachwiała się przestraszona.

»Nie lękaj się pani;» — przemówił Bage łagodnie — „wiém ja, o co tu chodzi. Możesz mi pani zaufać.”

To mówiąc spojrzał przez lornetkę na figurę woskową i zaczął się jéj długo z największą uwagą przypatrywać.

„Na honor,” — ozwał się wreszcie — „ja sam dałbym się był piérwszy zwieść takiém podobieństwem! Któżby się był tego po panu Lowter spodziéwał! Toby, wiész co, mój przyjacielu, miałeś tu myśl wyborną, i wzorem jesteś sług najwierniejszych! Teraz opuść nas stary!”

Tomasz Bage ułożył na prędce plan należyty. „Im dziwniejszą ta myśl na razie być się zdaje” — rzekł — „tém mniéj należałoby się obawiać jéj odkrycia. Na milczenie Toby'ego można się spuścić; ja, Tomasz Bage, będę się zajmował finansami, pani będziesz podpisywała. Nie ma w tém oszukaństwa, gdyż stan domu w niczém się zresztą nie zmienił, tylko iż zamiast męża, żona naczelnictwo obejmie.”

Tomasz Bage był bardzo wymownym, gdy swoje własne zamiary popiérał. Po długim oporze pani Lowter, wymienił w końcu imię Anny, opisał jéj przyszłość, a biédna matka chcąc nie chcąc, dała się nakłonić do zezwolenia na podstęp.

Były więc trzy główne rzeczy, które każdego bankiera składają, to jest: jego ciało, jego księgi, i jego podpis. Nie można sobie było życzyć zupełniejszego wskrzeszenia.

Jakoż już dnia następnego wzięto się do odegrania komedyi; wydobyto figurę woskową z szafy, ubrano ją w szlafrok i posadzono w krześle. Aby zaś zdala widzialną ją uczynić, wybito ścianę, przedzielającą bióro od gabinetu i kazano natomiast przezroczystą śklanną ścianę wystawić, przez którą można było zadumaną twarz pana Lowter jaknajdokładniéj rozeznać.

Bage miał słuszność: sama niedorzeczność użytego podstępu, uchylała wszelkie podejrzenie. Widząc, iż bankier ciągle w swoim gabinecie przesiaduje, nie myślał nikt, iż on umarł, lecz miano go za dziwaka, a późniéj za warjata. To było piérwszym powodem umniejszenia się kredytu domu Lowter.

Drugim i daleko szkodliwszym było sprzeniewierzenie się Tomasza Bage. Jako naczelny zawiadowca domu, obracał on tylko małą część dochodu na najgwałtowniejsze wypłaty, a resztę brał dla siebie, i niszczył przeto kredyt do ostatka. Rzekł on sobie: »W półroku muszę zostać panem milijonowym;» — i stosownie do tego zamysłu kierował wszystkie zabiegi. A gdy po upływie wyznaczonego czasu Tomasz Bage, ów milijon rzeczywiście miał już w szkatule, żal mu jeszcze było odstąpić swojego łupu, i wpiwszy się raz w wnętrzności upadającego domu, postanowił wyssać go do ostatniéj kropli życia.

Pani Lowter musiała samowolnie do własnéj przyczyniać się zguby. Prócz tego, że były komisant wcale ze swojémi niegodziwémi zamiarami przed biédną zwiedzioną wdową się nie ukrywał, była ona jeszcze zniewoloną uświęcać jego oszustwo swoim podpisem. A jeźli niekiedy opiérać mu się chciała, natenczas Tomasz Bage wyliczał jéj bezczelnie i nielitościwie wszelkie kary nałożone na fałszerstwo, i tak utrzymywał ją w ciągłém posłuszeństwie dla siebie.

„I na cóż się pani uskarzasz?” mawiał on do niéj. »Wszakże widzisz sama, iż cię zgubić nie chcę.”

W sześć miesięcy po śmierci męża, musiała pani Lowter przenieść się na drugie piętro z dawnego pomieszkania, gdzie teraz Tomasz Bage się rozgościł, i gdzie w kasie swojego dawnego pana codzienną swą łupież składał.

Kasa ta miała zamek ukryty, od którego klucz równie jak i klucz od drzwi pobocznych, którędy pan Lowter niegdyś na swoje nocne wycieczki się wykradał, był od śmierci bankiera zatracony. Skryte drzwi, o których nikt nie wiedział, poszły zupełnie w zapomnienie; lecz do kasy dorobił przekupiony mechanik klucz inny, za pomocą którego sam tylko Tomasz Bage miał przystęp do niéj.

Przy najzimniejszym zamiarze zbogacenia się krzywdą domu Lowter, pałał Bage namiętném uczuciem dla *miss* Lowter, które zamiast przejmowania go litością dla jego ofiar, tém większą jeszcze żądzę zniszczenia ich, w nim rozpłomieniało. Miał on bowiem tę zasadę, iż przywiodłszy panią Lowter do nędzy, łatwo ją do oddania mu córki skłoni; jakoż po dokonaném już uzbiéraniu milijona, wystąpił on otwarcie z prośbą o rękę Anny, i otrzymał wyraźną odprawę.

„Jeszcze mają za wiele, a ja za mało;” rzekł sam do siebie.

I zaczął więc nanowo napełniać swoję kasę złotem i banknotami. Dom Lowter szedł do coraz większego upadku. Tomasz Bage ponowił swoje oświadczenie o rękę panny Lowter, i został powtórnie odprawionym. Pocieszał się więc nową łupieżą

Tymczasem gruchnęła wiadomość iż pan Lowter pomieszania zmysłów dostał. To zadało ostatni cios domowi; zaczęto ze wszystkich stron zgłaszać się po ulokowane sumy, dla których wypłacenia, zażądano nawzajem przez porozsyłanych komisantów zwrotu sum pomniejszych, należących się domowi, o jakich zresztą za lepszych czasów, wcale nie pamiętano.

Bage korzystał z téj sposobności i zgłosił się raz jeszcze o rękę panny Lowter. Wiémy już jak go i tym razem odprawiono. To go ubodło do żywego. Za tak ciężką zniewagę, zdawała mu się sama nędza zbyt małą karą; zagroził więc biednéj wdowie karą sądową. Jakoż w istocie był on zdolnym spełnić tę szkaradną groźbę.

Gdy powrócił do swego mieszkania, zdało mu się iż usłyszał jakiś szelest w dawnym gabinecie bankiera; pospieszył tam natychmiast, lecz nie zastał nikogo. Chcąc jednak, jak zwykle, zajrzeć do kasy, kręcił długo kluczem, lecz nie mógł zamku otworzyć!

»Cóż to znaczy?» zawołał z trwogą. »Miałżeby tu się kto zakraść?... Lecz nie, to niepodobieństwem. Musiałem to ja sam klucz przekręcić. Będzie jeszcze dość czasu wglądnąć w to nazajutrz.»

Nazajutrz zapomniał Bage o zamku. Był on za wiele planami zemsty zajęty, i udał się jaknajraniéj do pani Lowter.

»Będąto moje ostatnie odwidziny;” — pomyślał sobie — »jeźli się matka i nadal opierać zechce, tedy wezwiemy sądu w pomoc. Niechno ona kilka dni w więzieniu posiedzi, a obaczymy azali panna córka jeszcze dłużéj opierać się będzie.»

Przed odejściem, zajrzał jeszcze do gabinetu bankiera. Figura woskowa, najważniejszy świadek przeciw wdowie w razie ostatecznéj potrzeby, siedziała na swojém miejscu. Tomasz Bage zamknął podwójne drzwi za sobą, aby téj ważnéj komnaty być pewnym, i zeszedł na dół.

W téj chwili odemknęły się owe długo zaniedbane drzwi skryte w gabinecie, i weszło niemi dwóch mężczyzn. Jeden z nich był Toby, który wchodząc ozwał się cichym i drżącym głosem do drugiego:

»Jako! Nie myląż mię oczy! Byćżeto może, jegomość znowuś zmartwychwstał?»

Pan Lowter skinął na starca i nakazał mu milczenie, a przekonawszy sie, iż nikogo nie masz w pokoju, zwrócił się do starca i wskazując na woskową figurę, rzekł:

»Wiem już, co to znaczy; teraz powiedz mi resztę.”

Toby'emu było wszystko dobrze wiadomo; opowiedział więc całe postępowanie Tomasza Bage, i wynikłe ztąd skutki. Słysząc o wstrzymaniu wypłaty nie mógł się bankier od gniewu powściągnąć.

»Tu są kapitały do zaczęcia nanowo;” rzekł Toby, uderzając ręką po kasie.

Lowter kiwnął niechętnie głową.

„Trzy milijony;” — rzekł. „Bez kredytu, cóż trzy milijony dla domu Lowter znaczą?”

To mówiąc dobył klucza z kieszeni i chciał kasę otworzyć. Postrzegł jednak iż w zamku tkwił kawałek złamanego klucza. Po twarzy bankiera przeciągnął się lekki uśmiech.

„Był tu!” mruknął. »Szczęście żem zawczasu temu zapobiegł.»

Poczém zwrócił się do starca i rzekł:

»Ten łotr, ten Bage, zostanie należycie ukaranym, o tém bądź pewny. Komużto kazał on moje podpisy podrabiać?”

Toby wyrzekł zcicha nazwisko pani Lowter. Gdyby fizyjonomija bankiera mogła była cokolwiek wyrażać, ledy w téj chwili byłaby zapewne żywe niezadowolenie wyraziła. Po kilku sekundach skinął pan Lowter na starca, aby wyszedł.

Byłyto już drugie odwidziny bankiera w domu Lowter. Wyjeżdżając do Paryża zabrał on przypadkiem z sobą klucze od owych drzwi skrytych w ścianie i od kasy. Wróciwszy dnia wczorajszego do Londynu, udał się niezwłocznie do swego gabinetu, zajrzał przedewszystkiém do kasy, mającéj, jakeśmy już wspomnieli, maszynowy zamek zmienny, i zamknął ją w inny sposób niż zwykle, tak iż Tomasz Bage nie mógł jéj od razu odemknąć.

W obecném krytyczném położeniu domu Lowter, obudziła się nagle cała dawna działalność przemysłu bankiera, który mimo wszelkie przeszkody, zachwiany kredyt domu nanowo utwierdzić postanowił. Teraz splin zniknął, a żądza samobójstwa ustąpiła śmiałemu duchowi spekulacyjnemu.

Wszakże opowiadanie starego sługi umniejszyło mu cokolwiek odwagi przez ten sam pomysł, że podpisy jego były nie przez samegoż Bage, lecz przez panią Lowter naśladowane, a zatém niegodziwy ale przebiegły komisant, podług ustaw ludzkich, żadnéj nie podpadał karze. Zatopiony w tych przykrych myślach, przechadzał się pan Lowter dużemi krokami po gabinecie, gdy w przyległym pokoju dał się jakiś ruch słyszeć. Bankier uchwycił pistolety, i pobiegł ku drzwiom, mniemając spotkać się tam z Tomaszem Bage, aż naraz głos pani Lowter go doleciał.

»Miłosierdzia!» wołała ona głosem płaczącym w drugim pokoju. „W imieniu wszechmogącego Boga, błagam miłosierdzia!”

»Ja zaś,” — ozwał się Bage surowym głosem — „żądam ręki *miss* Anny.”

*

Piotr Lowter przyłożył ucho do zamku; chwilowe jego oburzenie minęło, był znowu spokojny jak zwykle i słuchał.

»Jestto rzecz prosta,« — mówił Bage dalej — albo pani przystaniesz na moje żądanie, albo oskarżę cię o fałszerstwo. Mam ja tam, dzięki Bogu, niezbity dowód, którym wszelkie sądy przekonam.«

»Figurę woskową!« szepnął Lowter z wypogodzoną nieco twarzą.

Pani Lowter zwróciła się we łzach do Tomasza Bage i mówiła:

»Nie mogę! O, zlituj się nade mną, panie Bage! Ja nie mogę! Dopóki tylko o kredyt, o pieniądze chodziło, pozwalałam ci robić co chciałeś, ale mojéj Anny, szczęścia mojego biédnego dziecięcia poświęcić... nie mogę!«

»A zatém puść mię pani, niech idę do sądów.«

Tu sprzéczka umikła. Bage wyszedł. Bankier odstąpił ode drzwi i rzekł z radością do siebie:

»Dobrze; pokazuje się, iż tylko grając w karty szczęścia nie mam.«

Stary Toby wrócił z pośpiechem ku pomocy swéj pani, która z trwogi i oburzenia zmysły straciła. Zaniosłszy ją do jéj pokoju, chciał znowuż do bankiera się udać. Ale drzwi oboczne były zamknięte. W rozpaczy pobiegł znowu do pokoju Tomasza, ale nie zastał tam nikogo prócz figury woskowéj, która siedziała na swojém miejscu.

„Niechże nas teraz niebo ma w swéj opiece!« zawołał stary sługa. »Jedyny człowiek, który nam mógł w tem pomódz, opuścił nas.«

Pani Lowter była ze swojémi dziećmi u siebie. Tamże do nich pospieszył także Stevenson, który właśnie do Londynu powrócił. Biédna matka nie mogła z płaczu słowa przemówić. Anna nie wiedziała o niczém, i nie śmiała czynić pytania matce. Stevenson pocieszał jak umiał, a dorozumiawszy się, iż to Bage jest przyczyną całego nieszczęścia, oświadczył się z gotowością zabić go w pojedynku. Stary Toby przypatrywał się smutno téj scenie i powtarzał nieustannie:

„Niechże nas Pan Bóg ma w swojéj opiece! Gdyby jegomość był tylko chciał...«

Cała Oxford-Street była w poruszeniu, gdy na progu domu Lowter stanął urzędnik królewski. W Anglii, gdzie wszystko na handlu spoczywa, upadek każdego znaczniejszego domu handlowego, széroko uczuć się daje; jeżli zaś temu upadkowi nadzwyczajne, gwałtowne symptomata towarzyszą, natenczas poruszenie to staje się powszechném, wszyscy gromadzą się przed takim domem, i mniemają widzieć, jak ową fantastyczną istotę, zwaną kredytem, na marach z domu wynoszą.

Rozwiązanie naszéj powieści przybrało teraz wcale dramatyczny obrót. Kredyt domu Lowter chwiał się już wprawdzie zdawna, lecz naczelnik jego, lubo podług powszechnego mniemania obłąkany, przecież w oczach wszystkich był zacnym, nieszczęśliwym człowiekiem. Pocóż więc nasyłać nań tę nieszczęsną ćmę urzędników i konstablów? Nie lepiejże było dać mu w spokoju ostatnie chwile życia zakończyć.

Takie było powszechne zdanie litujących się widzów, którzy tłumem przed domem stali. Tymczasem Tomasz Bage wprowadziwszy osoby urzędowe na piérwsze piątro do środka, kazał niepotrzebnéj posługaczów i ciekawych zgrai oddalić się.

»Mój panie,« — ozwał się przewodzący urzędnik do Tomasza Bage — »skarga pańska jest wielkiéj wagi; zostawiam panu czasu do zastanowienia się, czy przy niéj obstawać zamyślasz?«

Zamiast odpowiedzi przystąpił Bage do drzwi gabinetu, prowadzących do komtuaru, i chciał je otworzyć; lecz gdy mu stały oporem, wybił w niecierpliwości okno, podniósł zasłonę i rzekł:

„Oto patrzcie panowie!«

Wszyscy ujrzeli figurę woskową. Urzędnicy, znający dobrze powierzchowność pana Lowter, uznali tę figurę tak podobną do samegoż bankiera, iż nie wiedzieli przez chwilę, co mają czynić. Na wszelki wypadek należało się dopiero przekonać, iż to jest rzeczywiście wosk a nie ciało ludzkie.

»Otóż patrzcie panowie,« — powtórzył Bage — »od roku służy to za pozór utrzymania wartości podrobionych podpisów domu Lowter. Ten nikczemny podstęp, wymyślony przez wdowę...«

»Zdaje się być rzeczywistym, jak pan mówisz;« ozwał się jeden z urzędników — »wszakże sprawiedliwość wymaga oczywistego przekonania. Zrób pan, abyśmy weszli do środka.«

»Siekiery!« zawołał Tomasz Bage na starego Toby'ego, który wiedziony żalem i ciekawością, stał pomiędzy obecnymi. Toby dopełnił rozkazu mimowolnie. Bage uchwycił topor, i wyrąbał czémprędzéj część lekkiéj ściany, przedzielającéj obadwa gabinety. Urzędnicy weszli z Tomaszem i konstablami przez otwór do środka, a biédny Toby, zdjęty rozpaczą na widok ostatniéj zguby domu swojego państwa, oparł się w żalu o ścianę i wciąż powtarzał:

„Gdyby jegomość był tylko chciał!...«

„A cóż,« — ozwał się Tomasz Bage do urzędników — „czy się sprawiedliwości już zadość stało? Macież panowie jeszcze jaką wątpliwość?«

A dla nadania tém większéj wagi tym słowom, uderzył figurę woskową po ramieniu: na to uderzenie podniosła się figura woskowa.

Bage odskoczył w przestrachu i omało z trwogi u nóg starego Toby nie padł na ziemię.

„Daj Boże jak najdłuższego życia i zdrowia jegomości!« zawołał Toby w uniesieniu.

»Czego panowie żądacie?» zapytał Lowter ozięble urzędników.

Urzednicy spojrzeli zmieszani na konstablów, konstablowie wzajem na siebie. Poczém wszyscy zaczęli chrząkać i odkaszliwać.

„Czyż panowie nie powiécie mi z łaski swojéj,” powtórzył pan Piotr Lowter— „co was tutaj sprowadza?”

»Mój miły panie,” — ozwał się jeden z urzędników, nie wiedząc co na to mówić.

»Nazywam się Lowter, i nie lubię poufałości;” odrzekł bankier.

»Panie Lowter, ten pan zaniósł skargę przeciw domowi...”

„Ten pan, albo łotr albo warjat. Nie wiedziałem dotąd z pewnością, czém z tego dwojga on jest właściwie. Teraz wiém już z pewnością... A więcéj, czegoż panowie chcecie?”

„Nic więcéj.”

To rzekłszy, skłonił się przewodzący urzędnik i chciał odejść. Bage stał jak odurzały i nie mógł słowa przemówić. Toby śmiał się z radości; bankier był zadumany. Wydarzona w téj chwili scena nie była wcale dziecinną igraszką; siadając na miejscu woskowéj figury, powziął bankier szybko plan, w którym cała jego wyższość umysłowa, w nowém okazała się świetle. W ten tylko sposób mógł się zachwiany kredyt domu od razu podnieść.

„Teraz, mój panie,”— rzekł pan Lowter do urzędnika— »pozwól mnie przemówić »

»Nie wolno nikomu wchodzić do środka;” ozwało się kilka głosów na dworze.

Piotr Lowter otworzył okno i postrzegł, jak jego słudzy coraz tłumniéj przybywającą ludność, od bramy domu odpychali.

»Wpuścić wszystkich, co wejść chcą!” zawołał bankier przez okno.

Poczém zwrócił się znowuż do urzędników i rzekł w te słowa: „Teraz możecie się panowie domyślić, iż nie bez przyczyny pozwoliłem wam przekroczyć próg mego domu, chociaż jak wam wiadomo, u nas Anglików, zakąt domowy za święty i nietykalny przybytek jest uważany. Swojémi odwidzinami w moim domu zrobiliście mi panowie wielką przyjemność, gdyż potrzebowałem waszéj obecności.”

Tu zaczął się cały komtuar coraz liczniejszym napełniać ludem, a niektórzy z najciekawszych powtykali nawet głowy przez otwór zrobiony w ścienie śklannéj.

„Potrzebowałem obecności licznych świadków;” — mówił bankier daléj silniejszym głosem. »Im większa publiczność tém lepiéj dla mnie. Niewdzięczny człowiek, któregom ja od wielu lat dobrodziejstwy obsypywał... mówię tu o tobie, panie Bage.. podły, nikczemny człowiek, sprzysiągł się na zgubę mego domu. Z boleścią uważałem, iż zaufanie publiczności, które sobie od lat piętnastu zjednałem, coraz widoczniéj upadało; zdumiéwałem się nad tém, gdyż nie wiedziałem, że w moim własnym domu przechowuję jadowitego, niezmordowanego wroga. Wydał on mnie za warjata. Ale tożsamo rozzbraja zupełnie gniew mój, gdyż to świadczy niezaprzecznie o jego własném pomieszaniu zmysłów... Rozgłosił on śmierć moję, ale nadaremnie szukałbym pobudki do tego. Co on przeto zyskać zamierzał, tego ja nie wiém; lecz co do mnie, widzę w tém wszystkiém istotne, nieuleczone obłąkanie jego samego. Oddając go więc moi panowie, w ręce wasze, w ręce sprawiedliwości, zanoszę prośbę za nim, i błagam o miłosierdzie dla niego.”

Tłum ludzi powiększył się nadzwyczajnie. Na wszystkich twarzach widać było podziwienie tak szlachetnego, wspaniałomyślnego postepku.

„Prośba pańska,” — ozwał się jeden z urzędników — „czyni zaszczyt charakterowi pańskiemu.”

„Przyjmuję tę pochwałę,”— odrzekł bankier z godnością— „i sądzę że na nią zasłużę, gdyż jeszcze nie wszystko powiedziałem. Sama potwarz nie byłaby wystarczyła do pozbawienia mię kredytu, dlatego ten człowiek dopuścił się oszukaństwa, aby mię tém pewniéj zniszczyć. Odważył on się wstrzymywać bez mojéj wiedzy wypłaty, podczas gdy moja kasa była pełną!”

Nato powstał szmer powszechny w znak oburzenia przeciw nikczemnemu komisantowi, i przerwał dalszą mowę bankiera. Ten, chcąc teraz ostatnim, imponującym krokiem całe dzieło swojéj restauracyi uwieńczyć, udał jakby nie rozumiał właściwego znaczenia tegoż szmeru, i wziął go za oznakę niedowierzania.

„Jako nie wierzycie!” zawołał głosem pełnym goryczy. „Widzę, iż potwarz, jakkolwiek najniedorzeczniejsza, zawsze jakiś cień nienfności po sobie zostawia, a ten nikczemnik nie daremnie nad moją zgubą pracował.”

To mówiąc, zbliżył się do kasy i otworzył ją na widok wszystkich. Całe zgromadzenie olśnęło blaskiem tylu skarbów.

„To jest moje! To wszystko moje!” zawołał Bage w rozpaczy. Chciał daléj mówić, lecz powszechny hałas nie dal mu przyjść do słowa.

Twarz pana Lowter skrzywiła się wyrazem najwyższéj wzgardy.

»To jego!” powtórzył on z zniewagą. „Możnaż jeszcze wątpić o pomieszaniu jego? Każde dalsze słowo, utwierdziłoby nas w tém zdaniu. Jako, czyżto trzy milijony tak łatwo z płacy prostego komisanta zebrać się dadzą?”

„Trzy milijony!” zawołał jeden z urzędników.

„Trzy milijony!» powtórzyli konstablowie i lud z podziwem.

»Nié ma wprawdzie więcéj w téj kasie, wszakże

jestto tylko suma do codziennego obrotu; w dwudziestu czterech godzinach, mogę potroić tę sumę; w tygodniu mogę...»

Powszechny, jednogłośny okrzyk uniesienia przeciął dalszą mowę bankierowi. Sami nawet urzędnicy królewscy stracili zwykłą powagę i ozwali się w głos: „*Bravo!*» Konstablowie musieli chronić Tomasza Bage, którego lud rozhukany omało w kawałki nie rozszarpał.

Na zakończenie opowiémy, iż Tomasz Bage, stawiony przed sąd przysięgłych, usiłował się bronić, mówiąc coś o fałszerstwie, samobójstwie, szulerniach i t. p. Ale jakże można było dać temu wiary! Bankier Piotr Lowter w szulerni! To była nikczemna potwarz. Wreszcie opowiedział Tomasz Bage całą rzecz o woskowéj figurze. Lecz ten wymysł zdał się wszystkim tak niedorzecznym, iż obłąkanego oskarzyciela dłużéj ani słuchać nie chciano, i w domu szalonych go zamknięto.

Cały Londyn opowiadał sobie to zdarzenie. Wszystkie dzienniki powtarzały tę powieść z mniejwięcéj fantastycznémi przyborami, pod napisem, któryśmy na czele naszego prawdziwego opowiadania położyli. Na giełdzie było to przedmiotem nieskończenie wznawianych rozpraw. Kredyt domu Lowter podniósł się znowuż i wnet nawet dawną świetność swoję przewyższył. Wszystko, nie wyjmując nawet i dziwacznéj samotności, w jakiéj bankier przez tak długi czas żyć miał, przyczyniło się do rozgłoszenia jego sławy. Piotr Lowter był odtąd w oczach ludzi nie tylko niezmiernie bogatym człowiekiem, ale także *an excentric man,* a być excentrycznym człowiekiem, jestto bardzo korzystnie w Londynie.

Robert zaniósł prośbę o rękę Anny i otrzymał ją. Rozprawy w procesie Tomasza Bage przekonały go najoczywiściéj, iż on w Paryżu nie samego bankiera lecz samego djabła był widział. Lękając się z tego powodu drwinek, nie pisnął nigdy ani słowa o całém spotkaniu w hotelu Meurcie.

Tak, Piotr Lowter był znowu najszczęśliwszym z ludzi. Widok rodziny, którą z okropnego wybawił nieszczęścia, służył mu za źródło najczystszych uciech; przez cały miesiąc prowadził prawdziwie patryjarchalne życie. Trzydziestego drugiego dnia, obudziwszy się rano, postrzegł przepyszną zasłonę z mgły za oknami; uradowany tą przysługą chmurnego nieba, ziewnął przeciągle i wstał z łóżka. Wszystko odtąd przykrzyło mu się, i sprawiało wstręt w domu; stary Toby mówił zbyt wiele, pani Lowter mówiła zbyt mało, Anna stawała mu się codziennie coraz bardziéj nudniejszą, tylko jeden Stevenson zachował tenże sam charakter, co go niemało gniewało. Przez dzień cały ziewał nasz bankier bez ustanku, wieczorem szedł wcześnie na spoczynek i znowu ziewał; śniło mu się nawet, iż ziewa.

Widząc taki stan rzeczy, postrzegł nasz bankier, iż splin nanowo go opanował i postąpił sobie w tym razie jak na prawdziwego gentlemana przystało. Już nazajutrz otrzymała pani Lowter z rąk Tobye'go drugi egzemplarz doniesienia o śmierci pana Lowter.

W ośm dni późniéj słychać było w hotelu Meurcie w Paryżu podwójny wystrzał pistoletowy. W pokoju, który już znamy, znaleziono Piotra Lowter nieżywego na ziemi. Leżał tuż przy stole, na którym były resztki obfitego śniadania i paczka piórek do zębów. Na dworze było mglisto.

Pani Lowter przyjęła tę powtórną wiadomość z dość spokojnym umysłem, a może z niedowierzaniem; stary Toby mrugał tajemniczo oczyma i mówił: „Wróci on, wróci znowu.»

Pani Stevenson, jako szczęśliwa matka sześciorga dzieci, ma teraz najstarszą, ładną jasnowłosą córkę na wydaniu. Dóm »L. Lowter, R. Stevenson i Comp.» jest znany na całéj kuli ziemskiéj, i nie ma sobie równego.

O więzieniach pensylwańskich.

W większéj części więzień północnéj Ameryki, zaprowadzony jest tak zwany system pensylwański, to jest: system zupełnego odosobnienia i milczenia. Z tymże samym systemem ma być teraz uczyniona próba w Prusiech, gdzie już na ten koniec, duży w Berlinie gmach założono. Owoż znany francuzki uczony, Appert, który od lat czterdziestu wszelkie swoje siły zbadaniu środków ulżenia nędzy ubogich, chorych i więźniów poświęca, i dla swoich wielorakich naocznysh doświadczeń, powszechne sobie zaufanie w tym względzie zjednał, wyraża się o tym systemie pensylwańskim, a mianowicie o zamiarze wprowadzenia go w Prusiech, w następujący sposób: »Dnia 13go września r. z.» — mówi on w opisie swojéj ostatniéj podróży po Niemczech — „zwidziłem w Berlinie świéżo założony gmach amerykańskiego więzienia, którego budowa znacznie już postąpiła. Jestto rodzaj cytadeli opatrzonéj niezliczonémi wieżyczkami, komórkami, sklepieniami, strzelnicami i małemi okienkami o grubych żelaznych kratach; to wszystko razem przypomina żywo owe barbarzyńskie, średniowiekowe ciemnice, w których nawet wszelka nadzieja zamiera, jeżli przypuścić można, aby ci nieszczęśliwi więźniowie, którzy w téj smutnéj cytadeli zamknięci zostaną, o swojéj ciężkiéj niewoli zapomnieć mogli! To więzienie podobne jest do ula, z tą różnicą, iż jego mieszkańcy nie są tak szczęśliwi jak pszczoły, i nigdy zeń wychodzić, nigdy się widzieć nie będą; jest ono podobne do ogromnéj trupiarni, gdzie każdy potępieniec ma żyć lub umierać zdala od reszty ludzi i świata. Zwidzając tę nową budowę z jéj mnogiémi

komorkami, z których oko więźnia nawet tej niewinnéj pociechy miéć nie może, aby się zielenią pól napawało, uczułem głęboki smutek w sobie, iż tak okrutny zakład, właśnie w państwach najlepszego z królów zastałem. Wiedząc ile sum na ten przybytek niedoli i przekleństw wyłożono, musiałem zupełnie zrzéc się nadziei, aby moje prośby, jeźli nie zaniechanie, tedy przynajmniéj odroczenie dalszych robót około téj budowy wyjednały. Lecz niechaj nieszczęśliwi więźniowie pruscy nie tracą jeszcze wszelkiéj nadziei; jeszcze nikt téj sprawy przed ich łaskawym królem nie bronił. Ani uczeni, ani urzędy, ani sławni lekarze z uniwersytetów pruskich, nie oświadczyli jeszcze zdania swego przeciw temuż systemowi, którego budowa zaledwie się ukończy, gdy już i grunt jego pod ciosami jednomyślnego potępienia ze strony umiejętności, religii i sprawiedliwości się zachwieje.« — A w innem miejscu mówi p. Appert: »Powiadają iż trybunały francuzkie oświadczyły się na korzyść systemu pensylwańskiego; to bardziejby mię zasmuciło, aniżeli zadziwiło, i ani na chwilę nie zachwiałbym się przeto w mojém przekonaniu, iż wszelkie przedsięwzięte w Europie próby tegoż systemu, długo nie potrwają. Jestto moralna cholera, która swoję podróż około światu odbyć musi. Jakoż słychać już nawet, iż nieliczni zwolennicy systemu pensylwańskiego w Niemczech, gotowi są przystać na niejakie ulżenie tego surowego systemu, a mianowicie żądają skrócenia przeciągu kary; znaczyłoby to właśnie tyle, co podwójne liczenie żołnierzowi lat służby podczas wojny, i byłoby jawnem wyznaniem, iż ten sposób karania jest okrutniejszym od zwyczajnego, i równie jak wojna, prędzéj na niebezpieczeństwo życia naraża, a zatem krócéj też trwać powinien. Korzystajmyż z tego wyznania, i weźmy je pod należytą rozwagę, jeźli inaczéj dokonania budowy tych nowych bastyl i wyrzucenia wielu milijonów talarów, które rząd na tę próbę poświęci, powstrzymać nie możemy.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 15ty i zawiéra: 1) O uprawie lnu i przysposobieniu przędziwa podług sposobów używanych w Belgii i Niemczech. Przez wydawcę. (Ciąg dalszy.) 2) Objaśnienie wiadomości o płonie ziemniaków z Hohenhejmu i uwagi nad niektóremi narzędziami przez redakcyję zaleconemi. Przez Fraňciszka Mysłowskiego. 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu, z dołączeniem wiadomości o fabryce sukna hr. Alfreda Potockiego w Żołyni pod Łańcutem. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy: *Bibliljoteka warszawska* na miesiąc kwiecień zawiera: 1) Alexander Humboldt, tł. z *Revue Britannique* K. Wolicki. 2) Czy kapitały hypoteczne w królestwie Polskiem są nieruchomością lub ruchomością? — przez W. M. 3) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez A. A. Kosińskiego. Ciąg dalszy. 4) Tabella ruchu jesiennego ptactwa w r. 1845, uważanego w Bychawce, przez W. Taczanowskiego. 5) Wiadomości chemiczno-gospodarskie, czyli opisanie najważniejszych potrzeb życia; rozbiór przez S. Zdzitowieckiego. 6) Jakie skutki na tutejszy kraj wywrze zmiana taryfy do parlam. ang. wniesiona przez R. Peel, a mianowicie zniżona opłata od zboża i drzewa do Anglii wprowadzać się mającego? przez K. L. Wolickiego. 7) O warzelni soli i kąpielach w Ciechonisku, przez J. N. Rostworowskiego. 8) Rozmaitości.— Kronika literacka— zagraniczna— biblijograficzna. — Doniesienia literackie. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Iskry wydobyte z lodu. Lód czém jest twardszy, zimniejszy, tém bardziéj staje się ujemno elektrycznym. Dzieje się to mianowicie przy 60° R. Berliński fizyk Achard obraca sferoidalną (okrągławą) bryłę lodu na maszynie umyślnie do tego przyrządzonéj, i sprawia przeto, iż ta bryła drobne ciała przyciąga i odtrąca, i iskry z siebie wydaje i t. p. Używany do tego lód powinien być skróś czysty, i nie miéć żadnych dziurek, napełnionych powietrzem.

Przyrządzanie olejku różanego w Kaszemirze dzieje się następującym sposobem: Wlewa się dużo podwójnie destylowanéj wody różanéj do otwartego naczynia i stawia się to naczynie na noc w chłodną płynącą wodę. Nazajutrz rano pływa gotowy już olejek w drobnych oczkach po wiérzchu wody, zkąd go się starannie na liście lilijowe zbiéra. W zimnym stanie wygląda ten olejek ciemnozielono, bywa nadzwyczaj twardy i potrzebuje temperatury tak gorącéj jak wrząca woda, ażeby się stał płynnym. Na uncyję takiego olejku wychodzi 500 do 600 funtów liści różanych. Zresztą prawdziwy kaszmirski olejek nie wchodzi wcale w handel, będąc jedynie do wyłącznego użytku dworu Szejkowego przyrządzany, a olejek, który w Europie pod nazwą perskiego się sprzedaje, jest nierównie gorszy.

Nieszczęścia morskie. W jednym z artykułów pisma »*New Quarterly Review*« czytamy, iż rokrocznie w przecięciu 608 angielskich okrętów się rozbija. Stracone przytém sumy mają około półtrzecia milijona funtów szterlingów czyli blizko 100 milijonów zł. pol. wynosić. Przeszło 1560 ludzi ginie co roku z tego powodu. Daleko większa część tych przypadków pochodzi z niezręczności lub nieuwagi sterników.

Rzadkość towarów jedwabnych w wieku szesnastym. Przed dwiestą laty zdawała się jedwabna pończocha tak wielkim zbytkiem, iż margrabia Brandenbursko-Kustrzyński Jan, zmarły w r. 1571, widząc jednego razu w dniu powszednim swego tajnego radzcę Bertolda Mandelsloh w jedwabnych pończochach, rzekł do niego z naganą: »Ej panie Bertoldzie, mamci i ja też jedwabne pończochy, lecz nie noszę ich tylko w niedzielę i na święta.«

Królowa angielska Elżbiéta, będąc trzyletniém dziecięciem, przeznaczoném na przyszłą dziedziczkę Anglii, została nagle z najwyższego szczytu nadziei w przepaść nędzy i niedoli wtrąconą. Po śmierci jéj nieszczęśliwéj matki Anny Boleny, biskup Cranmer ogłosił ją córką nieprawego łoża, a urodzony tymczasem z drugiéj żony króla Henryka VIII, Joanny Seymour, mały królewic, przyrodni brat Elżbiéty, wybił ją wkrótce ojcu i całemu narodowi z pamięci. Przezto przyszła biedna dziecina do takiego niedostatku, że jéj wychowawczyni, lady Bryan, w zachowanych dotąd listach wielokrotnie się uskarza, jako maleńka królowa ani sukni, ani spodniczek, ani trzewiczków, ani chusteczek, zgoła żadnéj bielizny ani pościeli nie ma. Wszystko co było, pisze lady, jest tak zużyte, iż w żadną miarę nadal służyć nie może; niech się więc kto u doworu zlituje i wstawi się u ojca, króla Henryka za maleńką księżniczką, która jest bardzo dobrém dziecięciem, chociaż niekiedy bywa upartą i zbytnie żywą, ponieważ ciérpi na ząbki, a przytém nie mając należytego pożywienia, musi u sto-

łu ochmistrzowskiego jeść szkodliwe dla swego wieku potrawy.

Przestroga dla młodych dziewczat, ale zapewne nadaremna. — »Dziennik Sztutgartski« zawiéra następującą autentyczną odezwę pewnego nieszczęśliwego ojca: »Miałem trzy córek; jedna z tych była w 16ym, druga w 15ym, trzecia w 14ym roku życia. Wszyscy, którzy je znali, wiedzą iż były ładne i miłe. Jednego wieczora w zimie, tańcząc razem na balu wyprawionym przez tutejsze towarzystwo muzealne, zwracały wszystkich oczy na siebie. Przypatrywałem się im właśnie wzrokiem pełnym dumy ojcowskiej, gdy jakiś poważny mężczyzna do mnie przystąpił i zapytał mnie: »Czy znasz pan te trzy przystojne panny?« — Nie wiem dla czego, nie wymieniłem, żem był ich ojcem, lecz odpowiedziałem obojętnie: »Sątο, jak mi się zdaje, trzy siostry.« — »Zapewne,« ozwał się tamten; »uważałem je pilnie i widziałem, iż od trzech godzin tańczą bez ustanku.« Poczém dodał oziębłe: »Obaczysz pan, po trzech latach, żadna z nich żyć już nie będzie.« — Nieszczęsny ten wróżbit był to dawny uczeń sławnego lekarza dr. K., i rzeczywistą prawdę mi przepowiedział. Po trzech latach nie miałem już ani jednego dziecięcia.«

Wielkie wyścigi konne w Paryżu zapowiedziane są na 19go kwietnia; słychać już o 50 przeznaczonych do tego koniach i znacznych zakładach, prócz dość wysokich nagród które przeszło 30.000 franków wynosić mają. Wszakże najciekawszą osobliwością tych wyścigów ma być to, iż wraz z innymi spółzawodnikami biegać będzie także pewna dama, elegantka, wsławiona już niejednym świetnym czynem tego rodzaju, ubrana podług wszelkich przepisów wyścigowych, w dżokejskich butach, atłasowéj kurtce i aksamitnéj czapeczce. Ztąd jak się rozumié, wszelka ciekawość, zajęcie, a prawdopodobnie i życzenia publiczności zwrócą się na piękną jeżdzczynię, godną spółzawodniczkę sławnéj angielskiéj amazonki, lady H..., która przy wyścigach roku zeszłego w Epsom, tuż za zwyciężcą, druga do mety dotarła.

Chińczycy na łowach. W Afryce, idąc na strusie, biorą myśliwi piérzastą skórę strusia na głowę, i ruszając się pod nią jak ptak, zwodzą i łowią żywcem strusiów. Daleko jeszcze przemyślniejszymi są Chińczykowie na łowach. Ci wiedząc iż ryby przy świetle księżycowém głowę z wody wytykać zwykły, przymocowują u łodzi duże, biało farbą namazane, jasno połyskujące deski, a ryby, mniemając to być światłem księżycowém, wychodzą na wierzch i bywają rękami ułowione. Również dowcipny jest sposób łowienia kaczek. Na to wsadza Chińczyk głowę w dużą wypróżnioną wewnątrz dynię, w któréj tylko trzy małe dziurki na oczy i nos zostawia, i tak siedzi w wodzie, trzymając głowę na wiérzchu, przezco się zdaje, jakoby dynia pływała. Kaczki zbliżają się bez obawy, a niewidomy łowca chwyta je wygodnie ze spodu za nogi.

Przyjemności towarzyskie. Wielce się ten zapewne między swojémi własnémi cztérma ścianami nudzić musi, kogo ochota zbierze pójść dla rozrywki w nasze towarzystwa. Czemże są nasze nowoczesne towarzystwa? Oto tuzin salonów, gdzie się zawsze tożsamo słyszy, gdzie się wodę z cukrem popija, aby ulżyć ziéwaniu, gdzie się trzeba opić ciepłą wodą, która żołądek psuje, a objeść ciasteczkami, aby na niestrawność chorować, i gdzie wreszcie osobliwszy przesąd panuje, iż to robi wielką przyjemność, trzymać przez trzy godziny karty w ręku. Sąto również — powiedzmy otwarcie — prostacze jak też nudne rozrywki, a potomkom naszym wyda się to rzeczą nie do pojęcia, jak my w dniach pewnych wzajemnie się do siebie zapraszać mogli, abyśmy nasze własne nudy za nudy innych wymieniali! *(Hum.)*

Eugéne Sue prowadzi osobliwsze życie; przez jedno półrocze bawi się na wielkim świecie i zbytkuje dowcipem i bogactwy, przez drugie półrocze zaś zamyka się przed światem w dalekiem odosobioném mieszkaniu na przedmieściu i pracuje. Teraz, kiedy on właśnie w téj porze samotniczéj żyje, zajeżdża jednego wieczora przed jego skromny domek mnóstwo najświetniejszych ekwipażów i kabryjoletów, i tłum najdostojniejszych gości, okazując karty zapraszające na »wieczor« — każe się do pana Sue prowadzić. Zakłopotany romansopisarz musiał przez kilka kwadransów coraz nowych gości za to nieporozumienie przepraszać, a nazajutrz brzmiały wszystkie dzienniki jego piorunującémi odezwami przeciwko sprawcy téj psoty.

Sen Faraona. Ktoś mówił, iż nie może żadną miarą pojąć, jak w opowiadanym w piśmie świętém śnie Faraona, siedm chudych krów siedm tłustych krów pożreć mogły, aby się przez to na tuszy nie poprawiły. »I ja także,« rzekł pewien kupiec; »nie mogłem sobie tego wprzódy wyjaśnić, aż póki się nie ożeniłem. Wtedyto miałem ja więcej niż siedm dużych i grubych ksiąg kasowych i handlowych, a moja żona utrzymowała tylko jednę maleńką chudziutką książeczkę wydatków. A przecież po roku ta książeczka wszystkie moje grube księgi pożarła, chociaż się także na tuszy przeto nie poprawiła. Odtąd wierzę w sen Faraona.«

Barbarzyństwo. »Abd-el-Kader nie da się niczém przekupić!« mówi dziennik paryzki »*Corsaire-Satan*«. »Dla ujęcia go sobie ofiarowało mu już ministeryjum krzyż legii honorowéj i krzesło w izbie parów, a ten barbarzyniec wszystkiem tem wzgardził.«

Baczność! Pewien kupiec w..., będący oraz oficerem milicyi miejskiéj, zbankrutował, naco jakiś Żydek, mający u niego kilka tysięcy reńskich, przyszedł z lamentem do swego przyjaciela pocieszyć się. — »Dobrze ci tak, Szlomku,« rzecze przyjaciel; »czemużeś nie miał się na baczności, zwłaszcza że on cię sam ostrzegał.« — »Jakto ostrzegał?!« zawoła Szlomko. »Ten oszust mię ostrzegał!« — »A nie byłżeś na ostatniéj paradzie, i nie słyszałeś, jak on raz po razu wołał: Baczność! Baczność! — Więc gdybyś miał był Szlomku baczność, nie byłyby ci pieniędze przepadły.«

Sprostowanie: W przeszłym numerze »Rozmaitości« na str. 110, w artykule »Annihilator ognia« — zamiast wyrazu »węglan« należy czytać »węglik«.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.